

„ZDRADA”

No więc **TEATR POWSZECHNY** wystawił nową sztukę Harolda Pintera z tytułem „ZDRADA”. Gdyby nie to nazwisko na afiszu można by mniemać, iż znaleźliśmy się na jakiejś sztuczce bulwarowej rodem z Paryża, tyle że zamkniętej, to znaczy nudniejszej od zwykłej produkcji sprawnych rzemieślników tego gatunku. Historyjka tego opowiadania scenicznego jest stara jak teatr i żyć będzie tak długo jak on — dotyczy trójkąta małżeńskiego. W swoich gniewnych sztukach Pinter, któremu właśnie stuka czterdzieści i dziewięć lat, przedstawił nam się przed laty jako jeden z wybitnych reprezentantów nowego teatru angielskiego. Na naszych scenach grywane były jego „Przyjęcie”, „Kolekcja”, „Urodziny Stanleya”, warszawska publiczność pamięta jeszcze świetną kreację Jacka Woszczerowicza w „Dozorcy”, grywane były i inne sztuki Pintera. Poruszał on się chętnie na obszarze przypadków psychopatologicznych, prześwietał mikroświat społeczny marginesu, ostry i dociekliwy w swych obserwacjach społeczno-obyczajowych. Tamten teatr bliski Beckettowi, kreowany w klimacie absurdu, różnił się jednak tym od Beckettowskich sztuk, iż uwolnił się był zupełnie od motywacji wydarzeń scenicznych, od wyjaśnienia przyczyn i skutków akcji. Taniec jaki odbywał się scenie, pozornie nie prowadził do żadnego celu, przecież budowana naturalistycznie technika gestów, póź, zachowań stwarzała wrażenie przebywania w konkretnej rzeczywistości.

Ta „Zdrada” jest, jak przystało na autora dobijającego półwiecza, pisana prosto, czytelnie, ma wszelkie motywacje, przyczyny i skutki. Można się

w nią, jeśli się bardzo chce, dopatrzeć pokrewieństwa z techniką filmowej dramaturgii, dowolnie bowiem przemienia czas i chronologię wypadków. Pinter sporo ostatnio pracuje dla filmu angielskiego.

„Zdrada” zaś niesie jedno piękne przesłanie, iż chociaż najuniesieńsze uniesienia wieźrzej, najsilniejsze uczucia gąsna, najgwałtowniejsze miłości rdzewieją — chwila rodzenia się miłości, owe pierwsze błyski i porażenia ogarniającym kochaniem — warte są późniejszych zawodów i klęsk. I dlatego staje się jasne po co było Pintero wi owo zonglowanie czasem, po co sztuka zaczyna się, by tak powiedzieć, od końca, a kończy początkiem historii. Właśnie dla udowodnienia, że oprócz kryzysu romansu coś jeszcze dwójce bohaterów zostaje. No wprawdzie kosztem trzeciego, ale gdyby było inaczej, nie mielibyśmy trójkąta i setek sztuk teatralnych. Przypomina mi się ta oto kwestia, którą gdzieś, nie pamiętam, przeczytałem: — „Dlaczego nie można być we troje? — Mamy za małe serca”. No właśnie.

Aktorzy zaś, prowadzeni przez reżysera Jana Bratkowskiego, zagrali tę rzecz, powiedziałbym, czysto i ładnie. I tylko tacy wytrawni artyści jak Elżbieta Kepińska, Leszek Herdegen i Edmund Fetting mogą uwierzytelnić tę sztukę, słabsza bowiem trójka mogłaby ujawnić, iż nie jest ona — ta sztuka — tak dobra jak Pinter. Publiczność zaś kocha takie opowiadania. Stawia się w komplecie na kolejnych spektaklach.

RYSHARD KOSIŃSKI

Teatr Powszechny. Harold Pinter „Zdrada”. Reżyseria — Jan Bratkowski. Scenografia — Jan Banucha. Muzyka — Andrzej Trzaskowski.